Rocznik XIII. Kraków 1-go września 1905. **Nr. 9.**

NOWY DZWONEK

wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia **1**-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

„Nowy Dzwonek“ kosztuje w prenumeracie:

w **Austryi** na **rok: 5** koron (**2** złr. **50** ct.), na **pół roku: 2** korony **50** halerzy (**1** złr. **25** ct.). — Do **Niemiec** na rok: **5** marek. — Do **Ameryki** na rok: **2** dolary.

Każdy prenumerator** „Nowego Dzwonka“* otrzymuje za darmo z początkiem roku książkowy ***Kalendarz pod tytułem *„Święta Rodzina“*.

Adres:
Redakcya „Nowego Dzwonka“ w Krakowie ul. Wolska L. 28.

I to także potrzebne.

(Słówko o grzeczności i przyzwoitem obejściu).

Oświeceńsi włościanie od pewnego czasu stopniowo poprawiają gospodarkę, zmieniają budowę chat i ich wewnętrzne urządzenie, dbają o czystość w izbie i około siebie, starają się o to, iżby zapewnić sobie wygodę i przyjemność; ale mało jest dotąd rodzin, któreby w codziennem życiu obyczajnie i przyzwoicie się zachowywały. Niektórzy, skoro się zdarzy kto obcy, powstrzymują się i traktują się znośnie; ale niechno zostaną sami, to zaczynają przemawiać do siebie, jakby zupełnie odrębnym językiem. Nie mówi się tam: „mężu, żono, Józio, Stachu, pójdź, daj, weź“, tylko: „stara, Józiek, a bodajżeś taki owaki, a pójdziesz, chcesz w łeb?“ i t. p.

Dzieci, słysząc podobne obejście, od maleństwa uczą się tego sposobu, praktykują go między sobą i stosują do starszych.

Rzadko kiedy widzieć można, żeby dziecko, wstawszy rano, powiedziało rodzicom: „dzień dobry“, albo żeby wróciwszy ze szkoły lub z kościoła pocałowało ojca, matkę w rękę na przywitanie. Po większej części dziecko wcho-

dzi do domu jak do chlewa, na nikogo nie zważa, nikogo nie uszanuje, często chłopak nawet czapki nie zdejmie w izbie, tylko przestąpiwszy próg woła: „jeść!“ Dzieciak, co jeszcze od ziemi nie odrósł. przychodzi na południe do domu i krzyczy: „matko, babko, a ugotowany obiad?“

Dobrem, łagodnem słowem nie przemówi żadne. Chłopak, posłany za interesem do dziadków, lub spotkawszy po drodze kogo z krewnych, przechodzi koło nich niby obcy, bez należytego pozdrowienia, a kiedy taki mówi o starszych, to rzadko bardzo powie: „dziadek“, „babka“, „ojciec“, lecz „stary“, „stara“, lub po nazwisku Bąk, Drąg, Łabędzka i t. p.

Pacierza nie umie, ale kląć, wyzywać doskonale umie każde.

Kawaler, idący dać na zapowiedzi, grzecznie do panny odezwać się nie potrafi, ale i ona by też może grzecznej mowy nie zrozumiała, bo od dziecka nic lepszego nie słyszy.

Skoro się zacznie jaką rozmowę z takimi ordynarnymi ludźmi, to trzeba się co chwila rumienić ze wstydu, bo oni każdą rzecz, każdą czynnność, choćby najwstydliwszą i najwstrętniejszą, nazwą wyraźnie po imieniu i do tego jak najpaskudniejszemi słowami. Aż uszy więdną od takiego obrzydłego gadania, a jeżeli jest świadkiem tego młodzież lub nie przywykła do takich wyrażeń osoba przyzwoita, to nie wie gdzie ma oczy podziać.

Mając taki przykład, słysząc go na każdym kroku, dzieci naśladują starszych, a od słowa przychodzi do czynu, bo nikt się z niczem kryć nie potrzebuje i nie kryje.

Raz przecie należałoby się zastanowić na tem co, kiedy i komu wypada powiedzieć, jak się odezwać i jak zachować należy, ażeby przyzwoicie wychowani ludzie nie uważali nas za pół dzikich.

Co komu przyjdzie z twego porządnego mieszkania, ładnego odzienia, lub majątku nawet, gdy odezwać się po ludzku nie potrafisz i skoro usta otworzysz, to zrażasz ludzi do siebie! Przyjdzie taki, niby „odpowiedzialny“ w całem znaczeniu tego słowa gospodarz, albo robotnik, gdzie z jakim interesem lub w gościnę i gdy go tu uszanują jak przystało, zaproszą do stołu między okrzesanych

ludzi, a tu nasz gość nie wie, jak użyć widelca lub noża. Rękami bierze mięso lub śledzia z talerza, potem wyciera je o sukmanę, albo o cholewę, plując na podłogę, a na zapieczętowanie tego wszystkiego — nos w palce uciera, bo chustki nie używa!

Takie nieobyczajne zachowanie się odbiera apetyt sąsiadom, sprawia im obrzydzenie i niekiedy do mdłości doprowadza.

Podobni ludzie nie umieją się zachowywać ani w porządnym domu, ani na zebraniu urzędowem, ani na modlitwie w kościele. Nie czują oni wcale potrzeby panowania nad sobą, zdaje im się, że izba, szkoła, kościół to to samo, co stajnia i chlew; nie rozróżniają towarzystwa ludzi od bydła. Idąc między obcych, nie wiedzą, że trzeba się umyć, uczesać, ogarnąć, aby nie cuchnąć potem i brudem. Nie pojmują tego, że wprost wstręt bierze podać rękę takiemu brudasowi lub siąść z nim — nie mówię już — za jednym stołem, ale na jednej ławie.

Jakże zupełnie inaczej przedstawia się prawdziwie światły człowiek. Bielizna na nim biała, sukmana czysta, buty wyczyszczone, ręce napracowane, opalone, lecz wymyte, nie noszą śladów gnoju lub ziemi, paznokcie bez czarnych obwódek, bo brud z za nich usunięty. Taki człowiek zachowuje się też grzecznie, przyzwoicie i można śmiało go wprowadzić do każdego towarzystwa. Sami to przecież powinniśmy odczuwać i starać się wszelkiemi siłami dążyć do poprawy w tym względzie.

O szkodliwości pijaństwa.

Największem złem społecznem, niszczącem zwłaszcza ludu i robotników, jest coraz więcej rozszerzające się pijaństwo. „Jest to otwarta rana, z której ludzkość się zakrwawi“ — mawiał kardynał Manning.

Pijaństwo jest nie tylko grzechem ciężkim, lecz każdym grzechem, gdyż popycha człowieka do przeróżnych i niezliczonych grzechów. Jeżeli wejdziemy do domu karnego i spytamy więźnia niejednego — „za co tu jest?“ — to jeden odpowie: „za kradzież“, drugi: „za zabójstwo“ —

itd. A jeżeli dalej spytamy, co go do tego popchnęło, to odpowie: „Zacząłem pić, dostałem się w złe towarzystwo, upadłem coraz niżej; aż dostałem się do domu hańby“.

Pijaństwo popycha też człowieka do bezbożności. Skąd to pochodzi, że tak liczni robotnicy dali się usidłać socyalistom? Zaprawdę, aby uwierzyli socyalistom, to musi im wódka naprzód rozum odebrać.

Pijaństwo zabija ciało i duszę. Pijak spożywa wielką ilość alkoholu, tak, że całe ciało nim przesiąknie. Wskutek tego jest organizm pijaka bardzo osłabiony i nie może na wypadek choroby jej się oprzeć, tylko znajduje przedwczesną śmierć.

Pijaństwo zabija duszę, to jest usypia władze duszy. Przyjrzyjmy się pijanemu, Gdzie on ma rozum? Nie może swych myśli skupić, nie może nawet mówić, tylko plecie trzy po trzy, a co drugie słowo, to przekleństwo. Nader często zdarzają się wypadki, że pijak umiera nagle w pijaństwie. I cóż się stanie z jego duszą? Idzie w grzechu przed tron Sędziego Bożego!

Pijaństwo dalej niszczy szczęście rodzinne. Biedę i nędzę znajdujemy najczęściej w rodzinach pijaków. Bo czyż może powodzić się dobrze rodzinie, której ojciec zanosi całotygodniowy zarobek do karczmy i szynku? Taki ojciec-pijak, to gorszy od zwierzęcia, bo zwierzę dba o pożywienie dla swych młodych — pijak zaś woli przepić cały zarobek w szynku — nie troszcząc się wcale, czy żona i dzieci jego mają co jeść, czy nie.

Zdarza się nader często, że nałogowi pijacy sprzedają gospodarstwa swoje, domy; — role i cały swój dobytek przez wódkę utracą, a potem po żebraninie chodzą, a nawet co użebrzą, to na wódkę obrócą. Bieda i nędza z powodu pijaństwa jest przerażającą.

Pijaństwo robiło i robi najwięcej spustoszenia i nędzy na świecie i rodzinach. Przez pijaństwo setki tysięcy osób straciły posadę i utrzymanie, służbę i zarobek, cnotę i niewinność duszy. Przez pijaństwo wielu stało się mordercami, podpalaczami, złodziejami i oszustami. Słowem: pijaństwo, to droga do niezliczonych zbrodni i nieszczęść, a więc precz z pijaństwem, precz z wódką!

ZA KRZYŻ.

Ostatnie najsroższe prześladowanie chrześcijan było za Dyoklecyana, panującego w cesarstwie rzymskiem na początku czwartego wieku. Ogromne przestrzenie zajmowało wówczas cesarstwo: wszystkie kraje nad morzem Śródziemnem w Europie, Azyi i Afryce były pod panowaniem Rzymian.

Dyoklecyan przybrał sobie do pomocy trzech zaufanych rządców: Maksymiana z tytułem Augusta, (co znaczy panujący cesarz), który miał takąż władzę jak Dyoklecyan, Galeryusza i Konstancyusza Chlora, ci byli cezarami czyli wielkorządcami w prowincyach im powierzonych. We wszystkich krajach państwa rzymskiego było dużo chrześcijan, ani Neron ani żaden z jego następców nie zdołali stłumić nauki Boskiej: dziewięć prześladowań zabrało miliony ludzi, lecz coraz nowe zastępy wyznawców Chrystusa rosły i potężniały. Krew męczenników użyźniała grunt pod nowe plony.

W początkach swego panowania Dyoklecyan zajęty wojną z buntującemi się narodami, nie prześladował chrześcijan, chociaż były częste wypadki uwięzień i śmierci za „obrazę bogów.“ Ale cesarz nie lubił wyznawców Chrystusa: sądził, że chcą obalić cesarstwo. Niechęć tę podniecał Galeryusz, którego matka wychowała w nienawiści dla „nieprzyjaciół Rzymu.“ Czy rzeczywiście chrześcijanie chcieli obalić cesarstwo? czy działali na czyją zgubę? Wiemy, że wiara w Jedynego Boga we trzech Osobach nie uczyła nigdy buntu i nienawiści, że naśladowanie Chrystusa to była miłość dla ludzi, bliźnich naszych i przebaczenie.

My to wiemy, lecz wielu Rzymian sądziło inaczej.

W roku 303 Dyoklecyan kazał ogłosić edykt czyli nakaz, aby wszystkie księgi chrześcijańskie były spalone, kościoły zamknięte, krzyże obalone, a chrześcijanom nakazano pod groźbą śmierci, aby się wiary błędnej wyrzekli i rzymskim bogom cześć oddali.

Edykt ów był najpierw wywieszony w Nikomedyi, w Azyi, gdzie mieszkał Dyoklecyan. Podobno jeden z chrześ-

cijan zdarł ten nieszczęsny edykt i podeptał. Cesarz dowiedziawszy się o tem, rozgniewany srodze, kazał więzić wszystkich, którzy nie złożą ofiary bogom; rozporządzenie to rozesłano po całem olbrzymiem państwie. Maksymian i Galeryusz spełniali rozkaz cesarski bardzo gorliwie; prześcigali się w okrucieństwie. Coraz nowe gromady chrześcijan wleczono na śmierć w męczarniach, a oni szli ufni i pogodni z pieśnią i uśmiechem rozradowania; szli, aby stwierdzić Słowo Boże; szli na wieczne obcowanie z Chrystusem. Azya Mniejsza, Egipt, Bizancium, Grecia, Italia, ziemie nad Dunajem spłynęły krwią.

Spokój był tylko w dzielnicach, gdzie rządził Konstancyusz Chlorus; był to człowiek uczciwy i mądry, a żona jego Helena chrześcijanka miała wielki wpływ na męża; dlatego Hiszpania i Gallia czyli Francya były spokojne pod rządami Konstancyusza, chociaż on sam był poganinem i brał na siebie wielką odpowiedzialność przed cesarzem za niespełnianie edyktu. Na szczęście Maksymian, który rządził sąsiednią Italią, nie miał czasu sprawdzać czy nakaz Dyoklecyana wykonano wszędzie; on szerzył spustoszenie, to mu wystarczało. I radowało się serce okrutnika, że był katem niewinnych, a czynił to nie dla czci i umiłowania wiary swojej, lecz dla nasycenia nienawiści. To było właśnie najsmutniejsze.

Maksymian był dobrym żołnierzem i lubił wojsko, był pewnym, że jego żołnierze wierni mu zawsze, pójdą na skinienie wszędzie, gdzie im każe. Armia jego słynęła z waleczności i karności. Największą sławę miał pułk Tebański, stojący wówczas w pobliżu jeziora Genewskiego. Maksymian chlubił się tym pułkiem i zawsze stawiał go na przykład innym: był bez skazy, bez zarzutu, nazywano go „nieustraszonym“. Pułk ten został zawezwany do pościgu chrześcijan. Ale jakież było zdumienie i wściekłość Maksymiana, gdy się dowiedział, że wojsko odmówiło posłuszeństwa. Kazał przywołać dowódcę Maurycego.

— Pułk nie chce słuchać ciebie? co to za bunt?

Maurycy odpowiedział spokojnie:

— I ja i moi żołnierze jesteśmy chrześcijanie.

Maksymian oszalał z gniewu, a może z rozpaczy, że ci najwaleczniejsi, najlepsi żołnierze są, jak mu się zdawało, wrogami jego i cesarstwa

— To fałsz — krzyczał — żołnierze nie mogą być zdrajcami, nie są nędznikami ci moi żołnierze. To fałsz! bezcześcisz wojsko takiem zeznaniem... Pójdziesz na męki,— męki najstraszniejsze, jeżeli nie odwołasz tego coś powiedział.

— Auguście, — odrzekł Maurycy — zdrajcami nie jesteśmy: służymy wiernie cesarzowi i spełniamy zawsze radośnie wolę jego, jeżeli nas wzywa do obrony kraju. Lecz nie podniesiemy ręki przeciw Chrystusowi, nie pójdziemy na braci naszych, bezbronnych chrześcijan, nie możemy obalać krzyża!

Maksymian zwrócił się do żołnierzy.

— Dowódca w szaleństwie miota obelgi na was, wierni żołnierze moi; wy najwaleczniejsi zaprzeczcie słowom dowódcy, który odda głowę jako zdrajca. Pójdźcie za mną!

Wojsko stało nieporuszone i milczące.

Słuchajcie, — krzyczał Maksymian — jeżeli jest prawdą co ten szaleniec mówił, jeżeli jesteście chrześcijanami i nie wyrzekniecie się guseł i niegodziwości waszych — każę was natychmiast zdziesiątkować: każdy dziesiąty będzie ścięty.

Żołnierze ani drgnęli. Niektóre twarze zbladły, ale wszystkie oczy zwróciły się ku niebu rozjaśnione nadziemskim blaskiem.

Zawołano inny oddział wojska, aby wykonać wyrok.

Po chwili kilkaset głów skrwawionych walało się w prochu. Maurycy, Kandyd i Exuper, oficerowie pułku patrzyć musieli na śmierć swoich towarzyszy: Maksymian myślał, że to ich zachwieje, że się chrześcijaństwa wyrzekną i pozostałych do wyrzeczenia się nakłonią. Lecz wszyscy trzej wierni żołnierze Chrystusa, wzrokiem i słowem zachęcali towarzyszy do wytrwania i spokoju.

— Pro Christo!*) — mówili wodzowie

— Pro Christo! powtórzyły wszystkie usta.

Gdy na ponowne wezwanie, aby złożyli cześć bogom, nikt nie odpowiedział, Maksymian kazał dziesiątkować pułk po raz drugi. I znowu spadały głowy. Z ust nieustraszonych nie wyszła skarga, ani prośba. Trzeci raz dziesiątkowano żołnierzy.

Maksymian zwrócił się do pozostałych.

---

*) Dla Chrystusa.

— Wszystkich was to czeka, jeżeli nie powrócicie do opamiętania, a krew wasza niech padnie na głowy dowódców, którzy nie umieli was ustrzedz od występku. Żal mi was i gotów jestem przebaczyć, jeżeli oddacie cześć cesarzowi i bogom rzymskim.

Maurycy w imieniu pułku swego odpowiedział:

— Auguście, gotowi jesteśmy spełnić twe rozkazy we wszystkiem, co się nie sprzeciwia Bogu; lecz zbawienia duszy wyrzec się nie możemy. Prowadź nas na nieprzyjaciela, piersiami własnemi zasłonimy cię i ostatnią kroplę krwi oddamy za pana najmiłościwszego, ale nie przelejemy krwi chrześcijan, których całą winą, że Boga prawdziwego znają i miłują.

— Dość! — wrzasnął Maksymian i skinął, aby tracono wszystkich.

Buchnęła pieśń potężna: hymnem witano życie wieczne.

Dopóki ostatnia głowa nie spadła, pieśń nie ustawała.

Ponad strugą krwi słońce rzuciło wielki snop złocistych promieni, w obłokach ukazał się krzyż!

A światłość wiekuista świecić zaczęła wiernym żołnierzom Chrystusa. Było to 22 września 303 roku.

W tym czasie jeden z urzędników Galeryusza, Akwilin, dowiedział się, że dowódca wojsk cesarskich stojących w Austryi i wielu z jego żołnierzy wyznają chrześcijanizm.

Akwilin pochwycił 40 żołnierzy i poddał ich mękom, aby zeznawali na obwinienie innych współwyznawców, ale Floryana, dowódcy tych wojsk, lękał się wezwać.

Floryan był chrześcijaninem rzeczywiście i dowiedziawszy się o uwięzieniu żołnierzy pospieszył sam do Akwilina, chcąc oszczędzić męki żołnierzom swoim.

Urzędnik zdumiał się słysząc dobrowolne zeznanie i w małoduszności swej chciał ocalić Floryana ofiarą żołnierzy.

— Złóż bogom ofiarę, a żyć będziesz spokojny. Żołnierze muszą być ukarani dla przykładu; mała strata: na ich miejsce może być dwa razy tyle; a taki dostojny dowódca nie powinien się narażać. Ja nie mogę pozwolić na to, żebyś miał dla głupstwa ginąć marnie. Uratujemy cię, dobrze?

Floryan nie odpowiadał Akwilinowi, tylko się modlił gorąco.

— Czyżbyś miał odwagę lekceważyć bogi nasze i wolę cesarza?

Floryan rzekł:

— Ponad bogami waszymi, jest Bóg prawdziwy.

— Zuchwalcze, — zawołał urzędnik — śmiesz bluźnić i poniewierać edykt! Chciałem cię ocalić, sam zniewalasz mię do kary.

Kazał osmagać Floryana, który modlił się ciągle gorąco; gdy krew zaczęła się sączyć z sieczonej rózgami skóry, Akwilin zapytał jeszcze raz, czy będzie posłuszny edyktowi.

Na to Floryan powiedział:

— Wola Augusta była mi zawsze rozkazem; ale Chrystusa wyrzec się nie mogę; gdybyś Go poznał, umiłowałbyś nadewszystko i nie odstąpił nigdy. W imię Jego śmierć jest rozkoszą i żadne cierpienia nie są mi straszne.

— Spalić cię żywcem każę.

— Pójdę w ogień, aby zasłużyć na zbawienie.

Namawiał sędzia, przedstawiał jeszcze Akwilin, obiecując nie tylko przebaczenie, lecz nagrodę i podwyższenie, wiedział bowiem, że Floryan jest najlepszym wodzem i że Galeryusz miłuje go bardzo.

Nakoniec szepnął mu:

— Złóż bogom ofiarę pozornie przynajmniej, jeżeli nie możesz ze szczerego serca.

— Składam siebie na ofiarę Chrystusowi — odrzekł stanowczo Floryan.

Sędzia kazał go strącić z mostu do rzeki, aby mniej cierpiał; litował się nad obłędem nieszczęśliwego, a nie rozumiał, że to była wiara gorąca i szczera, że wiara taka jest szczęściem najwyższem.

Woda zaniosła zwłoki męczennika na brzeg skalisty. Stróżował przy nich orzeł, nie dopuszczając ptactwa drapieżnego. Chrześcijanie zabrali drogie szczątki, a z objawienia Świętego dowiedzieli się, że w miejscu, gdzie je pochowają, ma stanąć kościół i klasztor.

Parę wieków potem Benedyktyni uchodząc do Rzymu przed prześladowaniem od pogańskich jeszcze wówczas Węgrów, zabrali trumnę św. Floryana, gdyż przy grobie jego Bóg działał cuda: wielu chorych i kalek było uzdrowionych za wstawieniem się Świętego.

W dwunastym wieku Kazimierz Sprawiedliwy król polski, prosił Papieża o relikwie, aby błogosławieństwo Boże krajowi zapewnić. Papież pozwolił wziąć ciało św. Floryana przywiezione do Polski 1183 r. Relikwie te są w katedrze na Wawelu w Krakowie dotychczas w wielkiej czci zachowane.

CIĘŻKIE ROZSTANIE.

(Obrazek z pod chłopskiej strzechy).

Śródwieczerz był dopiero, ale że jesień późna i mgły się wzmagały, świat dobrze już omroczał. Gdy Stachnikowa minęła długą ulicę przedmieścia i wyszedłszy z pod mostu kolejowego, znalazła się na znajomej drodze ku wsi, zasnuły ją naokół takie gęste mgły, że ledwo na dwa kroki przed sobą coś niecoś uwidzieć mogła. Wiadomo, siwe, kłębiaste, jesienne mgły... Jakby jaka zmora ciężka leżała hen na całej nieprzejrzanej równinie, na rolach ozimych, koniczyskach, ugorach; zdało się, że matce-ziemi ni razu odetchnąć nie dadzą, taka duszna a przesmutna cichość rozparła się wszędy... Żaden głos nie dobył się zbliska, ni zdalsza, żadne stworzenie nie zawołało, jakby wszystko, co żywie, do krzty oniemiało oną zmorą ciężką przywalone...

Samotna — że to dzień nie był targowy i ludzie wsiowi o te czasy z miasta nie wracali — z twarzą mokrą od przenikliwej wilgoci, szła kobieta jak zagubiona na jakichsi cudzych dalekościach; szła jak ten człek co wpadłszy w głębinę, prądowi unieść się nie da, ino wśród ciężkich wód idzie po dnie, barując się z falą, a spieszy, by co rychlej brzegu się dobić, a powietrzem odetchnąć, a oczy na świat Boży otworzyć... Taka ci mozolna i uparta była i la niej ta droga... Ino nie skróś onej mgły siwej, onej zmory wielgachnej, co zwaliła się na żywiące piersi ziemi-karmicielki, ale skróś zmory-żałości, co kamieniem młyńskim legła jej na sercu...

Raz wraz zbliżały się ku niej czarne, grube pnie głowiastych wierzb, stojących przy drodze, to zbite kłęby krzaków, to męka Pańska, przed którą się żegnała i wzdychała głęboko, z samego dna bolejącej duszy... Im dalej

szła, już nie baczyła bez co tak ciągiem mokro jej na twarzy, z tej mgły, albo z łez, co cichuśko, kiej ten strumyczek mały na równinie, płynęły i płynęły z pod powiek; skróś czego ją tak dławi, kiejby cosi tęgą chłopską garścią za grdykę ułapiło... Do znaku zapamiętała się w swym bólu a smutku serdecznym... Nie wiedziała, kiela jej drogi ubyło, czy się wyrychliła, że to półtorej mili od miasta do nich, czy folgowała zmęczonym nogom... Choć w chałupie ostały dziecka, ale po prawdzie nie spieszno jej tamoj było — bo niesła li dobre nowiny? Raczejby nawróciła, gdyby ino mogła...

...Hej, mój Jezu miłosierny, zwaliłoż-bo się nieszczęście straszne, bieda okrutna na ich chudobne gniazdo... A w onem gnieździe cztery pisklęta, z któremi jako-że sama, przez ojca, radę sobie da?... Od niego wraca właśnie, od swego chłopa, co leży tamoj w szpitalu, w mieście... Kiela niedziel już leży, mój mocny Boże! Jakoś przed Różańcową go wzieni, jak ten wóz przede młynem przeszedł w poprzek niego... Lekują go ciągiem, lekują dochtory, a on, mizerak, jak się ozniemógł, tak nijak skrzepnąć nie może... Obśniewał się jej dzisia w nocy taki bladziuśki, do cała zamarty, to też ostawiła chałupę i dziecka na Jagusię, chocia jej dopiero na szesnaście się obróciło — i poszła... Rety, do niego by nie poszła!... Duchem chciała go znowu uwidzieć, może sen naodwrót znaczy, dy i Waluś, jak chorzał, to w trumnie jej się obśniewał, a przecie skrzepnął i dziś zdrów jak ryba... Może chorość go już odstępuje, taki chłop przecie, taki mocarz... Ano i ujrzała... Mówił, co mu niby lepiej (choć jej się ta nie widzi), ale ciągiem jednaki, sił do wstajania nijakich nie czuje, a tu duchem trza poratunku w chałupie... Niema już co krowie zarzucić, ni dzieckom do gęby włożyć... Kwiatę trzeba będzie przedać, przez okrasy la dziecek w chałupie ostać i bez caluśką zimę gotowy grajcar, co się za krowę weźmie, przejadać... Oj, dola, dola!...

* * *

— Jaguś, a zaświeć-no, bo już haw szczera noc! — rzekła Stachnikowa, wchodząc do izby.

Dziewczyna zerwała się od stołu, przy którym po ciemku siedziała a może i drzemała, bo w izbie cichość

była, dziecka się już pośpiły na łóżku, ino Kwiatula, leżąca w kącie przy żłobie głośno hrumkała, przeżuwając.

Za chwilę żółte światło lampki słabo oświeciło izbę, a Kwiatula z sapaniem i stękaniem podniosła się ciężko i nastąpiwszy zadniemi nogami w bok, wyciągnęła swój szeroki pysk ku gospodyni, wodząc za nią poczciwemi, wybałuszonemi oczyma.

Gajzu ino jeszcze kapka — rzekła Jagusia — tylo co się rozdziejecie i pojecie...

— A grajcara w chałupie niema... O Jezu, co też za niedola na nas przyszła!...

— Powiadajcie o tatusiu...

— Dy cóż ci powiem... Do cna zamarty biedneńki... Wszyćko w boskiej mocy, ale mi się widzi, co ś-nim gorzej... Ani pomyślenia, coby wnetki do chałupy wrócił... Tośwa też dzisia oboje uradzili Kwiatę przedać...

— Co? Kwiatę przedać?!..

Dziewczyna pobladła, oczy jej urosły z przerażenia.

— Jużci, bo nie porada inaczej... Dy już la niej doma nijakiego żarcia niema... Abo to ociec zarobili co bez tyla niedziel? Toli cóże tak patrzysz, sama ja nad tem boleję okrutnie, ale kiej mus, to mus...

— A ja Kwiaty nie dam! — zawołała dziewczyna z namiętnym wybuchem, zalewając się łzami. — Nie dam! Słyszycie?! To moja krowa! moja! moja! Kielaście razy wy, abo i tatuś mówili, co moja!...

Przypadła do krowy, objęła za szyję i tuląc do miękkiej czarnej szerści zapłakaną twarz, powtarzała jak nieprzytomna:

— Nie dam! nie dam! mojaś jest! Nikaj nie pójdziesz z chałupy! Na tom cię bez tyla roków pasała, na toś Walusia i Kasię mlekiem swojem wykarmiła i nas haw w jesieni i w zimie w tem zimnem izbisku ogrzewasz, cobyś tera miała iść?! Nie dam cię, za nic nie dam!

Stachnikowa nie karciła dziewuchy za ten niespodziewany opór, boć i sama dobrze wiedziała, że nędza i głód szeroko wlezą już do chałupy, jak ino z niej tę żywiołkę na postronku wywiedzie... Jeść się kobiecie także odniechciało, choć od rana nic w gębie nie miała, to też nie zazierała do garnków w szabaśniku, jeno wyzuwszy się i zawiesiwszy na żerdce mokrą chustkę, usiadła na ławie,

podparła ręką brodę i nic nie mówiąc tępo patrzała przed się zaczerwienionemi od długiego płaczu oczyma.

— Nie dasz? — ozwała się wreszcie — dobrze, ino co jej żreć przyrychtujesz? Wyrozum-że temu dzieucho... Coby ojciec nie chorzał i dalej zarabiał, tobyśwa ją z wielką biedą może przezimowali, że to bydlę takie dobre, tyla roków toto się chowa i duchem potrzebne skróś okrasy la dziecek i la nas wszystkich... Adyć samej mi się serce oździera, kiej o tem pomyślę... I takby za gotowiznę trza jej cięgiem dokupować, bo przecie latoś nijakiej paszy nie było, suszę Pan Jezus spuścił okrutną, że co najpierwsi gospodarze krów czem zimować nie mają — a cóż dopiero my, chudziaki!...

Lecz dziewczyna, dławiąc się od rzewnego płaczu i trzęsąc się cała, aże jej zęby dzwoniły, powtarzała uparcie:

— A ja cię Kwiata nie dam, za nic nie dam! Jak pójdziesz, to i ja z tobą we świat na zatracenie!...

Głaskała przytem krowę, tuliła się do niej, to też mądre i przywiązane bydlę i ją parę razy swym ostrym jęzorem liznęło, okazując wielkie zadowolenie.

— Mielibyście to matuś sumienie tę naszą Kwiatulę na jarmark gnać i komu jak komu, ale może rzeźnikowi przedać, coby się nad nią pastwił?! Mielibyście sumienie ją, co lepsza od tego psa, aby i najwierniejszego, w złe ręce oddać?!...

— Oj, nie przegaduj tak Jaguś, nie targaj mi serca... Dy sama wszyćko dobrze wiesz... Ej, coby nie ten straszny mus... Bo se ino bacz: zima idzie, to nie śpas... Duza to ziemniaków mawa w dołku, a w zastroniu słomy, siana — co?... Dobrze, pokiel ociec robotę miał, czy to haw we wsi, czy we młynie, czy przy kamieniu, abo i w mieście.., Wszyćkiemu wydolił, wysłużny był, na rękę ludziom szedł, to też go wszędy brali i co sobota trzy, abo i cztery papierki do chałupy przyniósł... Tylko se pomyśl: tyli pieniądz do dom ciągiem płynął, to było i z czego żyć i zimą la bydlęcia coś niecoś dokupić..... Żebyśwa gruntu swojego co mieli, możnaby o jakiej pożyczce pomyśleć i choć zima będzie na bydło ciężka, krowy się nie zbywać... Ale nie nasza to dola... Ledwośwa się wspomogli na tę starą chałupę z tych dziesięci ojcowych paliców i dobrze,

co się chyciło te półtory morgi i harendę akuratnie płaci... Tyla co ś-nich zbierzem... Kwiata już do krzty zjadła, co miała zjeść, a tera słomy na sieczkę, a tera potrawu kup, boć temi ziemniakami z dołka, co la nas wszyćkich, nie będę ją paść... Samibyśwa za cztery niedziele, abo i za trzy do gęby co wrazić nie mieli... E, co tu wiela mądrować... Nijak się nie da i tylo!.. A tera i ojcu, co tamoj chorzeje, trza przecie podchlebić... Dzisia prosił, coby mu wino przynosić, to go skrzepi... On go ta dostaje, ale duchem więcej mu potrza... A kaj-że na to jaki grajcar?...

— O Jezu, Jezu! — jęczała cicho Jagusia, usiadłszy w końcu obok matki. Wtem, tłumiąc głębokie szlochy, co raz wraz piersiami jej szarpały, rzekła:

— A możeby we wsi u kogo przezimować.... Może mój krzesny ociec wezmą.... oni tacy la nas użyczliwi....

— E, pleciesz... — wzruszyła Stachnikowa ramionami. — A nie przedał to Florczyk przed tamtą niedzielą krowy, co sam wszyćkich piąciu przezimować o czem niema?

— Ale są jeszcze inksi.... Gądek, Piekarski, Śliwa, Jabłoński, Kuć... Tatusia nawidzą... Jakosi duchem trza temu zaradzić... Ja im jeszcze na wiosnę i bez całe lato do pola na odrobek pójdę, po łokcie ręce upracuję, coby ino Kwiaty nie dać...

— Albo to się tak da? Dy samabym temu rada, mój Jezu kochany... ale nie widzi mi się, by to się powiedło... Ktoby zaś latoś krowę zimował... Trza gotowego grajcara w chałupie i ś niego krowę żywić...

Pochłonięte rozważaniem opłakanej doli i szukaniem na nią poratunku, nie spostrzegły, że dziesięcioletni Jaś już nie spał i siedząc na łóżku, z uwagą słuchał rozmowy. Zesunął się w końcu na ziemię, co obudziło młodszego Walusia, który przetarł oczy i zobaczywszy matkę, w te razy z bratem do niej przybiegł, wpół sennie powtarzając:

— Matusiu... kukiełkę...

— Ot, widzisz — rzekła stroskana kobieta do dziewczyny — to im od gęby odejmę, a krowie dam?...

Nazajutrz postanowiła jednak spróbować i prosić gospodarzy o przezimowanie Kwiatuli. Poszły zaraz rano obie z Jagusią. Po drodze do Florczyka, Jagusinego chrzestnego ojca, ta jeszcze taką racyę matce poddała:

— Chocia krzesny ociec przedali krowę, ale se może źle wykalkulowali i bez to się wyrychlili... Tera się opatrzyli i widzą, co jeszcze na jedną mieliby wyżywienia... Może ono i tak jest...

— Zaśby ta Florczyk, gospodarz na tylu morgach, nie wyrachowali se dokumentnie... Ale, wiadomo, tonący źdźbła się chyta... Będę prosić, na wszyćko zaklinać...

— I ja... Dy krzesny ociec tacy zawdy ludzcy...

Florczyk właśnie był na obejściu i zmierzał ku stodole, gdzie dwaj jego synowie młócili. Chłop był w latach, choć siwego włosa by mu na głowie nie uświadczył, postawny i mowny. Był w gminie radnym, szanowali go ludzie i chętnie słuchali, czy to na radzie, u wójta, czy przy innej okazyi, bo rozum miał nie byle jaki i zawdy mądremi przysłowiami jak z rękawa sypał.

Na prośbę Stachnikowej odrazu przecząco począł trząść głową:

— Moiściewy, rozumiem ja temu, rozumiem.... nie trza mi wiele gadać.... Juści, kaj cienko, tam się rwie.... Ze szczerej duszy bym was ratował, ale kiej nie porada... Adyć wiecie, samem krowę przedał, a waszą bym brał?

— Krzesny ojcze — prosiła Jagusia, schylając się Florczykowi do kolan — możeście se źle wykalkulowali, może żywności la jednej jeszcze przy waszych czterech wystarczy... Ja wam jeszcze za to na wiesnę kiej ino zawołacie, zawdy do roboty wylecę...

— Dobrzem ja se wykalkulował, do ostatniej ocipki... Swojego, widzę, mi braknie, tom już i paszy na zimę dokupił... Cóżbym też za gospodarz był... Sprawiedliwie wam mówię: nijak się nie da i tylo! Nie wykręcam się byle czem, że to łacno o przyczynę, kto chce bić chudzinę... Dospomógłbym z szczerej duszy, jako niewymawiający kiejniebądź i przódzi, — ale swego przecie nie dam.... Każdy wodę na swój młyn wodzi... A jakże tam z waszym? — zwrócił się do Stachnikowej.

— Oj, niedobrze kumie... Biednieńki... Byłam wczora u niego i takeśwa o tej krowie uradzili...

— No, ale tak duchem na księżą oborę nie patrzy?

— Mówiła dobrodziejka, co może za łaską Pana Jezusową jeszcze skrzepnąć... ale...

— Ano, widzicie... Tako-że powiedajcie.. Taki chłop jak wasz by się zaś nie wylizał! A ty, Jaguś ino Pana Jezusa proś, coby tatuś wyrzetelnieli, a za krową tyla nie wydziwiaj, bo jak wyzdrowieją to i inksza kiej jeszcze może być... Już ta Pan Bóg radzi o swojej czeladzi — a kogo stworzy, tego nie umorzy...

— Kiej krzesny ojcze — szlochała Jagusia — tak to bydlę miłuję i ona też la mnie, kiejby ten pies... Od tyla roków pasałam...

Lecz Florczyk przerwał jej z oburzeniem:

— To z bydlęciem tak ciężko ci się rozstać, a jakby tak padło z ojcem, abo z matką?... A wiesz ty, dzieucho, co do bydlęcia, duszy nie mającego ino parę, tak serce przywiązywać — to grzech!...

Była tego dnia Stachnikowa jeszcze u Gądka, Jabłońskiego i innych, ale żaden o przezimowaniu krowy ani słyszeć nie chciał. Wzruszali ino ramionami, patrząc na nią, jakby do krzty źle miała w głowie. Oni, rodowi, pierwsi gospodarze, choć ta nie do ostatniej, ale po krowie abo dwie sami przedać musieli i na wiesnę nawozu im na polu braknie (a mają przecie po piętnaście abo więcej morgów)— a jej, chudziaczce, duchem się zachciewa przy krowie ostać! A toby już nijakiej sprawiedliwości na ziemi i w niebie nie było!!

* * *

— Nie siadajcie pod nię matusiu — rzekła Jagusia — niechże ja ją ten ostatni raziczek wydoję...

— Ano, to dój.... Juści, już ostatnie to dojenie.... Wieczorowy i rańszy jutrzejszy udój trza ostawić, jako zwyczajnie przed jarmarkiem, bo któżby taką wyciągniętą krowę gnał... Będziewa mieć jeszcze tera zacierkę na mleku, a potem jak Pan Jezus da...

Dojenie, wiadomo, zwyczajny obrządek w chałupie i nikta mu się nie przygląda. Ale w tej chwili u Stachnikowej, że to ostatni raz, to jak ino Jagusia usiadła pod krowę i jęła ostro siurkać mleko do skopca, stanęła za nią cała rodzina. Matka podparła garścią brodę w okrutnem zaturbowaniu i zaciąwszy boleśnie usta, kiwała ino głową; Kasia i Waluś uczepili się jej kiecki, a dziesięcioletni Jaś oparł się o żłób i zasumował tak, kiejby doletni parobek.

— Daj pokój Jaguś, wydój jak się patrzy, nie ostawiaj — rzekła matka do dziewczyny, widząc, że znów gwałtowny płacz ją porywa. — Ot, wola boska... Chodziłam po ludziach, prosiłam, za nogi obłapiałam gospodarzy... Nijak się nie dało... Już krowa mentrykę swoją ma, rewizur pieczęć dał — i pójdzie! Ale może jutro na jarmarku jaki gospodarz z dalsza się trefi, co paszy więcej u nich ostało... Nie desperuj, może ta na rzeźnickie ręce akurat nie padnie...

— Cóż mi ta już z tego, kiej z chałupy pójdzie... — szepnęła z bólem Jagusia...

Ramionami dziewczyny jęło podrzucać, opuściła na chwilę ręce, lecz wnet, oparłszy czoło o krowę, doiła znów dalej, a z mlekiem kapały do skopca obfite łzy.

— Oj, jakże mi ciężko z pod ciebie wstajać, moje bydlątko kochane—rzekła oddając wreszcie matce skopiec.— Takaś była dobra, poczciwa, niewymyślna w jadle...

— Juści — odparła gospodyni, biorąc się do cedzenia mleka — bydlę było poczciwe, co szukać takiego drugiego...

— A w szkodę to nigdy nie lazła — rzekł Jaś — nie jak inksze, choć ta dobrości nijakich we żłobie nie miała.

— A mało to razy — dodała Jagusia — doiło ją się tak ino, po prawdzie przy niczem... Ot, wczora rano... Dostała do doju tej sieczki i obierzyn z ziemniaków jak na lekarstwo, wychlipała duchem, a tu matusia ledwo co z dwóch pierwszych dojków wydoili... Innaby się potem siepała, doić nie dała, ino wyglądała nowego żarcią... A ja se ją wzienam głaskać pod brodę, drapać i do reszty mleko puściła...

— Dobre bydle, niema co rzec — przyświadczyła matka. — Kajżeby to inksza, co choć i żarcie ma jak się patrzy, to abo kopie, abo po całej oborze zadem chodzi i ciągiem trza za nią ze stołkiem jeździć, abo ino fuczy we żłobie, a pyskiem jadło na ziemię wyrzuca, kiejby świnia ryjem...

Gdy poobiadowali, a dzieci miskę po zacierce wylizały, że wyglądała jak umyta, rzekła Jagusia do matki:

— Duchem bym chciała, coby jej jeszcze dzisia, w ten ostatni dzień w chałupie, jako przypodchlebić... Dy juże jutro o te czasy, mój Jezu, kto wie, kaj będzie...

— Cóż jej dasz mojaśty? Doma nic niema...

— Poszłabym do Kółka i wziena na bórg choć pół garnca czerwonej mąki, niechby miała do sieczki na wieczór i jutro rano... I ocipka dobrego potrawu abo koniczyny zdałaby się zarzucić jej za drabinę...

— Ano idź, może zborgują, powiedz, co jutro, jak krowę przedam, zapłacę... A weź ta i flaszkę na gajz i font chleba...

Po drodze wypadało Jagusi domostwo chrzestnego ojca, Florczyka. Gdy przechodziła, jeden z synów ciągnął wodę ze studni. W te razy przyszła jej na myśl koniczyna dla Kwiatuli.

— Tomuś — rzekła, zatrzymując się przy płocie — jutro matusia pognają naszą Kwiatę na jarmark... Możebyś mi choć ocipkę koniczyny la niej wycisnął.... mojeśty... Duchemby jej jeszcze na ostatek potrza...

Chłopiec Jagusię lubił, więc zaraz na jej prośbę się zgodził.

— Coby zaś nie? Wycisnę... ino kaj-że 'ci ostawić?

— Kajżeby? abo ja wiem? By ci ino poręcznie było...

— Ostawię za naszą stodołą... Abo nie, mogliby tatuś uwidzieć i zeswarzyliby mnie, bo to przecie kupna...

— Mógłby i mnie na drodze kto potem uwidzieć... nieprzezpiecznie...

— Już wiem! — rzekł chłopak. — Przede wieczorem, jak będziewa brać ze stodoły la naszych krów, to i la ciebie ocipkę wezmę, a potem śmignę ś nią poza płotami .. Ty zaś ino naglądaj...

— Dziękuję ci Tomuś... Niech ci Pan Jezus zapłaci..

— Za mało... Ino pozieraj przede wieczorem... Kole waszego zastronia ostawię...

Wieczorem Kwiatula miała ucztę co się zowie: sieczka i obierzyny z ziemniaków na rzadko, omaszczone czerwoną mąką, potem pół wiązki pachnącej koniczyny! To też dno cebrzyka jęzorem wylizała z hałasem, kiejby ostrym wiechciem szorował, potem koniczynę zawijała aże hej, a gdy już zjadła ostatni listek, co wpadł do żłobu, schyliła łeb ku ziemi i fucząc swemi szerokiemi, mokremi nozdrzami, wyzbierała starannie wszystko, co ino koło niej spadło. W końcu legła, odetchnęła głęboko i długo z głośnem hrumkaniem przeżuwała. Pousiadały przy niej wszystkie

dzieci, głaskały ją i pieściły, a płaczu i żałosnych wspominków było tego wieczora co niemiara.

Jagusia, która zrazu długo usnąć nie mogła, co jej się pierwszy raz może w życiu zdarzyło, zaspała sobie nad ranem. Gdy oczy otworzyła, matka była już ubrana, lampka dobrze skręcona świeciła się w kącie, by dziecek nie budzić, a krowa kończyła swoje śniadanie. Serce z trwogą uderzyło dziewczynie.

— Rety, matusiu, to już?!

— A już, mojaśty, ino niech Kwiata tę resztę koniczyny doje. Pospieszać trza, bo dzień na obróceniu, kiejże dojdę? A z jarmarkiem nie będą na mnie czekać...

— O Jezu, Jezu, jakże prędko ten ranek nastał!... Oj moje bydlę kochane, pójdziesz już od nas, na zatracenie....

— Lepiejbyś co pomogła, a nie ino cięgiem labiedziła... Dość już tego było wczora bez cały dzień...

— Toli cóże pomogę?... Dziecka jeszcze śpią, potem podpalę, oskrobię ziemniaków, nastroję śniadanie i tylo...

Gdy już krowa koniczynę skończyła, kobieta schowała w zanadrze czerwony „paśport“ Kwiatuli, odziała się w chustkę i zaczęła odwiązywać postronek od żłobu.

Krowa niewydojona a niezwykle syta, zrazu ruszyć się nie chciała. Pociągnięta przez gospodynię dała się jednak doprowadzić do drzwi. Ale tu znów zaparła się nogami i dalej ani rusz. Bała się może wejść w ciemną sień, otwartą do pola, skąd ukazywał się ledwie szary, nieprzenikniony zmrok. Wreszcie szarpnąwszy się silnie, obróciła się w bok i stanęła w poprzek drzwi.

— Rety! — zaszlochała Jagusia — chce na swoje miejsce zawrócić! Moja Kwiata poczciwa! Pewnikiem przeczucie ma, co juże nie wróci...

Stachnikowa się zniecierpliwiła.

— A wytnij-że ją czem, niech się ku drzwiom nastąpi, bo nie wydolę ją wywieść...

— Zaśbym ją biła jeszcze na ostatek i sama miała żenąć z izby?! Za nic matusiu, za nic!

Za chwilę jednak Kwiatuli już w izbie nie było. Zostały ino po niej w kącie żłób, drabinka, odrobina podściółki na ziemi i puste, smutne miejsce. Zobaczyły je zaraz dzieci,

gdy się o białym już dniu pobudziły. Chwilę patrzały w nie przerażonemi oczyma, przypominając sobie dzień wczorajszy. Potem w opustoszałej izbie rozległ się rzewny, serdeczny płacz...

O potwarcach i oszczercach.

Pewien święty Opat zwykł był mawiać swoim pustelnikom: „Jak wąż jawdowitemi słowy, nie tylko na samego siebie ściągnął przekleństwo Boga, ale i Ewę, która go chętnie słuchała, wyrugował z raju, — tak też kto mówi źle o bliźnim, nietylko duszę swoją popycha ku zatraceniu, lecz zarazem i dusze tych, którzy potwarcę mówiącego słuchają“.

Święty Bernard pisze: „Język potwarczy jest najostrzejszą włócznią, bo trzech odrazu kaleczy: naprzód samego potwarcę, potem tego, kto go chętnie słucha, wreszcie osobę spotwarzoną“. (Św. Bernard tom. 2 Serm. 29).

„Potwarca“ — mówi dalej tenże Święty — „równie jak ten, kto go rad słucha, oba mają czarta niepokoju: u jednego siedzi na języku, u drugiego w uchu“.

Teokryt, poeta grecki, zapytany, które zwierzę uważa za najdrapieżniejsze, dowcipnie odpowiedział: „W lasach i górach najdrapieżniejszymi są lwy i niedźwiedzie; — po wsiach i miastach lichwiarze i potwarcy“.

„Jak pająki z siebie snują przedzę, na zgubę innych owadów — tak też potwarcy sami z siebie snują przędzę kłamstwa, aby w niej zgubić dobre imię swoich bliźnich“.

Jak ratować zwierzęta w czasie pożaru.

Gdy pożar wybuchnie, najrozsądniejsi ludzie tracą — jak to mówią — głowę, zwłaszcza, jeśli ich własne mienie jest zagrożone. Rzadki to wypadek, aby człowiek, któremu dom w płomieniach stoi, spokojnie mógł kierować ratunkiem swych rzeczy i zwierząt.

Wprawdzie ratunek w czasie pożaru należy przedewszystkiem do wyćwiczonej w tym względzie straży po-

żarnej, ale u nas po wsiach, a nawet i w miasteczkach rzadko gdzie znajduje się straż pożarna, a gdy jest, to często przybywa za późno. Ponieważ zaś szybka i energiczna pomoc daje często niespodziewane wyniki, więc każdy z nas obowiązany jest przed przybyciem straży ogniowej ratować wedle możności. Do tego zaś potrzebna jest przytomność umysłu i obeznanie się ze sprawą ratownictwa, oraz sposobami obchodzenia się ze zwierzęciem: jego obyczajami.

Znaną jest rzeczą, że zwierzęta wyprowadzone podczas pożaru ze stajni, natychmiast do niej wracają. Przyczyną tego jest niezwykła jasność płomieni, czem zwierzęta wystraszone i przerażone, szukając instynktownie schronienia, uciekają na zwykłe miejsca. Również zrobiono spostrzeżenie, iż zwierzęta zwolnione z uwięzi, lub które się same zerwały w czasie pożaru lub innego niebezpieczeństwa, zbijają się w ściśle zwartą gromadę, którą niepodobna rozpędzić, a czynią to zwłaszcza owce i konie.

Należy zatem pamiętać, aby na wypadek pożaru w oborze i stajni:

1) Nie odwiązywać wszystkich zwierząt naraz.

2) Zawiązywać oczy każdemu zwierzęciu z osobna i wyprowadzać po jednemu, zwłaszcza konie.

3) Tylko w ostateczności, w nagłym wypadku, należy spuścić wszystkie odrazu zwierzęta, jedno z nich gwałtem wyciągnąć, a za niem resztę wypędzić, choćby przy pomocy kija lub bata.

Pożądanem byłoby, aby drzwi do stajni i obór urządzić dwoje, każde na przeciwległej ścianie, aby w razie pożaru można było wypędzić zwierzęta temi drzwiami, które będą bezpieczniejsze od ognia. Zresztą w ostateczności można wyrąbać otwór w ścianie.

Drób należy chwytać i wsadzać do worków i przenosić do miejsc bezpiecznych.

Nierogaciznę najtrudniej ratować: wieprza trzeba wiązać i wynosić.

Najczęściej zapominają podczas pożaru o ulach, to też pszczoły wskutek dymu i gorąca giną doszczętnie. Żeby je uratować, należy otwory ula odsunąć, inaczej bowiem pszczoły się poduszą.

Przy ratunku unikać należy zbyt głośnego wołania, hałasu i krzyku. Ratować należy spokojnie, ciągle baczną uwagę zwracając na własne bezpieczeństwo, najlepiej w towarzystwie dwóch lub trzech dzielnych ludzi. Ratując zwierzęta, bierzmy do pomocy człowieka, zwykle ich doglądającego, znają bowiem jego głos i łatwiej mu się kierować dadzą.

Wielką wadą budynków są drzwi otwierające się do wewnątrz. Ofiarą tej wadliwej budowy padło już bardzo wiele ludzi i zwierząt. Zwykle, gdy wydarzy się katastrofa ogniowa wewnątrz jakiegokolwiek budynku, to wszystko, co tam żyje, rzuca się ku wyjściu; tu, wskutek silnego naporu, drzwi się zamykają i biada tym, którzy tam pozostają. Gdy nie przybędzie pomoc z zewnątrz i gdy drzwi nie będą gwałtem wyważone, to niema dla nich żadnego ratunku, a najokropniejszą z okropnych musi być śmierć przez spalenie żywcem.

Wojny w 19-tym wieku.

Z okazyi obecnej wojny rosyjsko-japońskiej, warto przytoczyć kilka liczb z większych wojen zeszłego (19-go) stulecia, aby przez porównanie mieć wyobrażenie o rozmiarach wojny obecnej.

Ilość wojska. W roku 1812, w wojnie Napoleona I. z Rosyą, mieli Francuzi 442 tysiące ludzi i 1200 dział, Rosyanie 220 tysięcy ludzi i 940 dział. — W roku 1866 w wojnie Austryi z Prusami i Włochami, miała Austrya 512 tysięcy ludzi 1042 dział, Prusy zaś i Włochy 550 tysięcy ludzi 1368 dział. — W wojnie francusko-niemieckiej w roku 1870/71 mieli Niemcy 630 tysięcy ludzi i 1742 dział, Francuzi 600 tysięcy ludzi i 1000 dział.

Straty w pojedynczych bitwach. Pod Königgrätzem mieli Prusacy zabitych i rannych 9000, Austryacy 24 tysiące zabitych i rannych, 20 tysięcy dostało się do niewoli, czyli razem stracili Austryacy 44 tysiące ludzi. — W wojnie francusko-niemieckiej pod St. Privat mieli Niemcy 20 tysięcy zabitych i ranionych, Francuzi 8 tysięcy zabitych i rannych, a 4000 wzięto do niewoli.

Ranni od kul karabinowych i pocisków armatnich. W roku 1866 odniosło rany od kul karabinowych 79 do 90 żołnierzy na 100, a 3 do 16 na 100 od pocisków armatnich. — W roku 1870/71 od kul karabinowych odnosiło rany 70 do 94 żołnierzy na 100, od pocisków armatnich 5 do 15 na 100.

Przeciętnie na każdy karabin padło w roku 1866 podczas wojny Austryi z Prusami 64 strzałów u Austryaków, w roku 1870/71 u Niemców 56 strzałów.

Zwykle zostaje zabitych i ranionych 2 do 6 oficerów na 100. Ogółem zaś ranionych bywa 3 razy tyle, ile zabitych. Na czterysta strzałów karabinowych trafia przeciętnie tylko jeden.

CHLEB U RÓŻNYCH LUDÓW.

W niektórych zapadłych prowincyach Szwecyi, ludność uboga żywi się chlebem żytnim, wypiekanym tylko dwa razy do roku i który pod koniec, gdy już zapas wyczerpywać się poczyna, staje się twardy, jak cegła.

Na dalekiej północy robią chleb z owsa i jęczmienia. Lapończycy używają na ten cel owsa, mieszanego z korą sosnową, którą mielą razem i wypiekają z tej mieszaniny na patelniach bochenki duże, płaskie. Na Kamczatce chleb krajowców składa się czasem wyłącznie z dobrze przemacerowanego utłuczonego i upieczonego drzewa sosnowego.

Islandczycy zbierają mech skalny i ususzywszy, trą go na mąkę, z której przyrządzają chleb i legominy. W niektórych okolicach Syberyi, Chin, oraz w innych krajach na Wschodzie, wypiekają dość smaczny chleb z mąki gryczanej. Gdzieniegdzie we Włoszech używana jest na chleb mąka z kasztanów. Persowie jedzą chleb z ryżu i mleka, toż samo Chińczycy, Japończycy, oraz większość mieszkańców Indyj; w innych zaś miejscowościach Indyj, w Egipcie, Arabii, i Azyi Mniejszej, chleb wyrabiany jest z prosa, zwanego „durra“.

PTASIE MLEKO.

Gdy się komu dobrze powodzi, to mówimy, że wszystko ma, a brakuje mu chyba tylko „ptasiego mleka“, to znaczy, czyli rzeczy niemożliwej do otrzymania. Sądzimy bowiem, że niema mleka ptasiego. — Tymczasem uczeni zbadali, że niektóre ptaki karmią swe pisklęta cieczą, podobną do mleka.

Na przykład młode gołębie, wykłute z jaj, są nagie, niedołężne, ślepe i bardzo słabe; gardło starych gołębi wydziela tłusty płyn, podobny do śmietanki, i tym płynem wyłącznie karmią stare gołębie swe pisklęta prawie przez dwa tygodnie.

Jeszcze nie zbadano dobrze, z czego się składa to ptasie mleko, przypuszczają jednak, że mało się różni w swych składnikach od mleka zwierząt ssących.

Pożywienie japońskiego żołnierza.

Jeden z najważniejszych pokarmów japońskiego żołnierza, stanowi dziś fasola specyalnego rodzaju. Dawniej żywiła się armia japońska prawie wyłącznie ryżem tylko, co jednak powodowało chorobę „beri-beri“, właściwą tylko Japończykom, objawiającą się drżeniem nóg, obezwładnieniem niższej części ciała, a w dalszym jej rozwoju znakami podobnymi do trądu.

Badając tę chorobę, lekarze japońscy przyszli do przekonania, że wywołuje ją nadmierne używanie ryżu i poradzili urozmaicenie pokarmu fasolą. Nasamprzód tedy zaprowadzono fasolę w flocie, a następnie w armii lądowej. Wyniki okazały się znakomite, kiedy bowiem w r. 1884 chorowało 40 marynarzy na 100, dziś liczba chorych w marynarce spadła do 8 na 100. Prócz fasoli, otrzymują żołnierze jeszcze chleb jęczmienny i ryż. Do ryżu dodają jeszcze żołnierzom osobną przyprawę, którą noszą oni zawsze przy sobie w specyalnych woreczkach.

Jak wygląda demonstracya socyalistyczna w Japonii.

Jeden z gazeciarzy zagranicznych, który bawił dłuższy czas w stolicy Japonii, w mieście Tokio, opisuje swoje wrażenia z wiecu socyalistycznego w Tokio, wymierzonego przeciw wojnie z Rosyą.

Zebranie odbyło się w publicznym ogrodzie Hibija. O godzinie w pół do drugiej po południu zgromadziło się na placu około 6 tysięcy ludzi w grupach po 300 i 400 osób. Ludzie szli bez hałasu, bez oznak, ale większość z nich miała bębenki, których odgłos zastępują w Japonii nasze oklaski. W zebraniu tem brało udział mnóstwo kobiet i małych dzieci.

O godzinie 2-giej rozpoczął się wiec. Do każdej większej grupy osób przemawiał agitator. Jeden z nich tak mniej więcej mówił:

„Każdy liberalnie myślący człowiek musi zrozumieć, że wojna z Rosyą narazi Japonię na ruinę zupełną.

(Bębny zawarczały. Tu i ówdzie ozwały się przytakiwania).

„Finanse naszego kraju będą w przyszłości zawisłe od państw zagranicznych.

(Bębny zawarczały silniej).

„Wszystkie gałęzie życia w naszej ojczyźnie dostaną się pod kontrolę Europy.

(Huk bębnów staje się podobny do grzmotu. Słychać głośne okrzyki).

„Lud japoński na dalsze prowadzenie wojny zgodzić się nie może. Dążenie naszego rządu, aby dorównać mocarstwom największym, jest po prostu śmieszne.

(Bębny grają, jak wściekłe).

„Tak. Śmieszne! Karzeł z olbrzymem mierzyć się nie powinien. My pracować musimy nad podniesieniem gospodarczem Japonii, a wojna jest naszą zgubą“.

W tej chwili rozległy się okrzyki: Policya! Policya! I w rzeczywistości z alei sąsiednich wyłoniło się około 60 stróżów bezpieczeństwa. Wszyscy zaczęli uciekać i wszyscy... śmiali się na całe gardło. Śmiali się demonstranci, śmiały się kobiety, a dzieci kwiczały z radości.

I czemu się śmiali? bo agitatorzy zrobili swoje, mowy swe wypowiedzieli, i na tem koniec. W Japonii mowy do ludu bywają bardzo krótkie.

Tymczasem na łące przyszło do bójki — ale wesołej. Policyanci japońscy — na wzór policyantów angielskich, — zbliżyli się do grupy demonstrantów, która rozejść się nie chciała i popychali opornych. Demonstranci w odpowiedzi rozpoczęli piekielną muzykę na bębnach. Było coraz weselej i coraz hałaśliwiej. Wtedy to policyanci chwycili za bary najgorszych hałaśników i teraz już w sposób czysto narodowy zabrali się do nich, przerzucając ich sobie przez głowy. Przedziwna sztuczka. Taki podrzucony jegomość robi w powietrzu błyskawicznego koziołka i pada o kilka kroków dalej na ziemię. Ten zdumiewający popis siły i zręczności wywołał prawdziwy entuzyazm wśród uczestników. Nawet ci, których tak pięknie rzucono o ziemię, uśmiechali się wesoło, trzymając się za stłuczone kolana i głowy. Śmiali się nawet policyanci i oczy ich miały jakiś blask dobroduszny. Nie aresztowali nikogo. Po kilku minutach wszystko było skończone. Miałem wrażenie,—tak kończy opowiadać gazeciarz, — że byłem świadkiem wesołej zabawy. Teraz zrozumiałem, dlaczego kobiety z dziećmi uczestniczyły w zgromadzeniu. W doskonałych humorach tłum wracał do domu.

Gazeciarz dodaje, że socyalizm w Japonii szerzy się podobnie, jak i w Europie, ale nie ma on charakteru rewolucyjnego, tylko pracuje głównie nad podniesieniem materyalnem robotnika. Obecnie występują socyaliści japońscy jednomyślnie przeciw wojnie, bo uważają, że wojna podkopie na długie lata dobrobyt Japonii i da się we znaki szczególnie klasie robotniczej i ludowi.

ODSIECZ WIEDNIA.

Dnia 12 września r. b. (1905), upływa lat 222, jak król Jan Sobieski, na czele rycerstwa polskiego, z połączonemi wojskami elektorów cesarstwa niemieckiego, odniósł pamiętne nie tylko w dziejach Polski, ale i Europy zwycięstwo, i groźną potęgę bisurmańską ostatecznie prze-

łamał, tak iż przestała być straszną dla wiary świętej i oświaty.

W pobliżu Warszawy, na małym pagórku, zwanym *Marymontem* (Mariae mons — góra Maryi), królowa Marya Kaźmira, żona Jana III, zbudowała pałacyk dotąd zachowany i od swego imienia go nazwała. Pałacyk ten wznosił się wśród obszernej kniei, pełnej grubego zwierza, rozciągającej się od Wisły i okalającej całą niemal stolicę rzeczypospolitej, bo knieja ta zajmowała las bielański i młociński, dzisiejsze pola powązkowskie i dochodziła do Mokotowa.

Tutaj to, po wyprawionych łowach w r. 1683, na danej uczcie przez królowę, Jan III dał słowo, że ofiarowanego pokoju od Turcyi nie przyjmie i na odsiecz Wiednia pospieszy.

I dotrzymał słowa.

Dnia 11 września 1683 r. nad zachodem słońca, stanął król na górze Kahlenberg, w pobliżu Wiednia, skąd widne były wieże kościoła św. Szczepana i wynioślejsze mury miasta.

Wiatr od dwudziestu sześciu godzin panował tak silny. a właśnie prosto w oczy rycerstwu naszemu, że się ledwie na koniach utrzymać mogli. Wojska połączone zajmowały przeszło pól mili wszerz. Król Jan w zagaju dębowym stanął, gdzie mu mały namiotek rozbito i materac porzucono. Sobieski, usiadłszy na nim, mówi do swych dworzan:

— Nie mam się na kogo spuścić, a samem sfatygowany bardzo; trzeba abym miał wczas jaki na jutrzejszą pracę. Będzie dzisiaj dawał znaki komendant wiedeński Staremberg, trzeba mi ich pilnować, a nie mogę.

Na to odezwał się Matczyński, koniuszy koronny, i dyspozytor dworu królewskiego:

— Mości królu, trzebaby się wywczasować, choć nie tak jak należy. Na mnie się wasza królewska mość spuść, a ja przypilnuję.

Król rzekł: „Nie mogę też komu innemu poufać“.

I wydawszy hasło do całego rycerstwa:

„*W imię Panny Maryi, Panie Boże dopomóż!*“ położył się na materacu i zasnął.

Matczyński we dzwiach namiotu siadł na taborecie, który masztelarz woził zawsze w trokach, bo po nim Sobieski, dla zbytniej otyłości, wsiadał na konia.

O północy wypada raca z wieży św. Szczepana w Wiedniu. Ujrzawszy ją, odzywa się Matczyński do króla:

— Mości królu, już jeden znak wyszedł.

— To już wie, odrzekł Sobieski, żem Dunaj przeprawił.

W kilka pacierzy znowu wypada druga raca. Odzywa się Matczyński:

— Mości królu, już drugi znak.

— To już wie, żem się już od taborów ruszył.

Potem trochę poczekawszy, trzecia raca wypada, i mówi Matczyński:

— Mości królu, już trzeci znak.

Dopiero król podniósł głowę, a przeżegnawszy się rzecze:

— Niech będzie Bóg pochwalon, to już wie, że się tu z wojskiem znajduję.

I uspokojony nakręcił zegarek z ekscytarzem (budzikiem) na godzinę trzecią po północy, zmrużył oczy i zasnął twardo. Matczyński zadrzemnął na taborecie. Wiatr gwałtowny ucichał, zwiastując dzień pogodny.

O trzeciej ekscytarz zaczął bić w zegarze głośno. Zbudził się król Jan i woła:

— Chłopiec! jest tam który?

Mikołaj Dyakowski, rozbudzony odezwał się pierwszy i stanął gotowy.

— Biegaj, wyrzekł król, do księży kapelanów i pobudź ich, żeby się do Mszy gotowali, a z bębnów mensę niech im zrobią.

Kiedy pokojowiec wybiegł, Sobieski usiadłszy na taborecie, na złożonym materacu zaczął pisać list do żony, zaczynając jak zwykle każdy:

„Jedyna duszy i serca pociecho, najśliczniejsza i najukochańsza Marysieńko“.

W nim, opisując szczęśliwą przeprawę przez Dunaj, postacie elektorów, którzy przybyli doń po rozkazy, mówi o głodzie i trudach jakich doznaje; w końcu straszną wichurę przypisuje czarom wielkiego wezyra: „bo wezyr ma być wielki czarownik“, i zamyka list swój z tą myślą, że do stanowczej walki nie przyjdzie prędzej jak za dwa dni, chociaż nazajutrz odniósł stanowcze zwycięstwo.

Po wysłuchaniu Mszy świętej, równo ze wschodem, rozkazali król i hetmani na koń wsiadać. Uderzono w kotły,

trąby i bębny; wychyliły się gęste zastępy jazdy, piechoty i artyleryi z cieni leśnych, zajmując wyznaczone stanowiska.

Dają znać wezyrowi, że wielkie wojska polskie następują. Ten, do ostatka nie wierząc w bytność Sobieskiego, wypada z namiotu swego, a poznawszy po chorągwiach prawdę, zawołał z boleścią: „O królu, jak mogłeś tę krzywdę czynić panu memu“?

I z rozpaczą, upadłszy na duchu, smutnie opuścił głowę na piersi.

Król dnia tego wdział kontusz sukienny niebieski, żupan biały jedwabny, przepasany złotym łańcuchem. Siedział na dzielnym rumaku płowej maści, zwanym *pałasz.* Przy prawem udzie miał przytrokowany mały bębenek a głośny, w który uderzał od czasu do czasu, przywołując *rezydentów* (adjutantów) od każdej chorągwi, którym wydawał rozkazy.

Poprzedzał króla giermek, puklerz w kształcie herbowej tarczy (Janiny) noszący, i chorąży, który dla oznaki gdzie się król znajdował, przymocował do proporca swego pióro sokoła.

Królewicz Jakób, nieodstępny ojca w krwawej potrzebie towarzysz, miał szyszak z blachy srebrnej na głowie, zbroję na piersiach, szablę u boku, a pod lewem udem, zwyczajem dzielnej hussaryi, koncerz obosieczny.

Król daje rozkaz Szczęsnemu Potockiemu. wojewodzie sieradzkiemu, aby pierwszy uderzył na Turków z chorągwią swoją hussarską. Wojewoda staje na czele: dawnym zwyczajem hussarya zniża straszne swe kopie wpół ucha końskiego, pochyla głowy w hełmach, wyrusza kłusem i zrywa się w niepowstrzymany galop. Skrzydła orle i sokole z poświstem z bark im powiewają, szumią fruwaniem swojem długie u kopij chorągiewki; szum przeraźliwy otacza ten zastęp, jakby ptastwa w stalną zbroję przybranego. Jazda turecka nie dotrzymuje pola, konie spłoszone pierzchają: ale tłumy uciekających same w tłoku zatrzymują się, a ochłonąwszy z przestrachu, uderzają na tę chorągiew i otaczają Polaków. Widząc w jak gorących opałach jest wojewoda sieradzki, Stanisław Potocki starosta kaliski, bez rozkazu hetmańskiego, ze swoją chorągwią pancerną spieszy na pomoc swemu stryjowi, łączy się z hussaryą i straszną rzeź sprawiają obaj Potoccy

w tłumach Turków; ale pada ofiarą młodzieńczego zapału Stanisław.

Janczary srodze razili wojska chrześcijańskie, zasadzeni po winnicach obmurowanych. Kiedy po trzykrotnym szturmie zdobyto ich warowne pozycye, kładąc trupem wszystko co opór stawiało, król, skoro mu dano znać, że lewe skrzydło armii sprzymierzonej już jest w namiotach tureckich od Dunaju:

— Wołajcie mi, rzekł, p. Miączyńskiego, niechaj mi tu przychodzi z pułkiem swoim.

Skoro stanął z chorągwią, król mówi do niego:

— Zaraz mi tu wasze idź i opanuj namioty wezyrowskie.

Miączyński dał znak: cały pułk z miejsca cwałem poskoczył. Nic mu się oprzeć nie mogło; co nie pierzchło, legło stratowane pod kopytem, obalone kopiją, zrąbane szablą.

Wielki wezyr, widząc straszną klęskę wojsk swoich, rozkazał jako ostatni ratunek, rozwinąć i podnieść wielką chorągiew Mahometa, otoczoną strażą najwaleczniejszych.

Ale dzielna hussarya nasza straż tę obala; chorąży, spadłszy z ubitego konia, sam poległ, a zdobyty drogocenny sztandar król posłał do Rzymu Ojcu świętemu, gdzie zawieszony został na Watykanie. Ujrzawszy upadającą chorągiew swoją wezyr i popłoch w całem wojsku tureckiem, zawoławszy synów do siebie, płakał jak dziecię. Potem rzekł do obecnego hana tatarskiego:

— Ty mnie ratuj, jeżeli możesz. — Ale han na to odpowiedział:

— Znamy my króla polskiego, nie damy mu rady i sami o sobie myśleć musimy, abyśmy ocaleć mogli.

Wezyr, złamany klęską, nic nie odrzekłszy, dosiada rączego rumaka i spiesznie uchodzi. Król Sobieski postępuje z chorągwiami, które przy sobie zatrzymał: wre walka zacięta. „Bo mnie się przyszło (pisze Jan III) z wezyrem łamać“· Broniące się pułki janczarów w pień wycina i wchodzi w wielkie miasto namiotów, bo tak wyglądał turecki obóz.

Król w liście do żony, zaraz po odniesionem zwycięstwie pisanym, mówi, że same namioty wielkiego wezyra „tak obszerne, jako Warszawa albo Lwów w murach“.

Cała armia sprzymierzona, kiedy stanęła w obozie tureckim, zaledwo czwartą część namiotów zajęła.

Tymczasem Wiedeń zostawał w wielkiem niebezpieczeństwie, gdyż pomimo strasznej klęski zadanej i ucieczki wielkiego wezyra, druga armia janczarów wciąż szturmowała do Wiednia. Król Sobieski, nie wiedząc o tem, a widząc, że swobodnie uchodzą Turcy, gdy wycieczka z Wiednia mogła im drogę przeciąć, zawołał z gniewem: „Nie będę królem, jeżeli jutro nie każę Staremberga obwiesić wpół Wiednia, że nieprzyjaciel uchodzi, a mając 12,000 wojska on go nie przerzyna".

Dopiero z namiotów tureckich poznał powód prawdziwy, kiedy gęste zastępy janczarów zaczęły się cofać z pod Wiednia, dowiedziawszy się o klęsce swoich.

Dzień to był parny, słońce dopiekało do samego zachodu. Król stanął w zdobytem namiocie wielkiego wezyra, ale nie używał wywczasu, bo usiadłszy na swoim taborecie podróżnym, przesiedział tę noc całą. O północy niezwykły rozruch przebudził całe wojsko, które dosiadło koni: piechota stanęła w ordynku. Ktoś z naszych w kilku miejscach zapalił składy prochów tureckich. Wybuchł straszny wstrząsł ziemią. Król sam pisze, że obraz ten „*przedstawiał dzień sądu ostatecznego*". Na szczęście nikt nie był ani zabity, ani ranny.

Zdobyto łupy bogate: musiały być wysokiej wartości, kiedy Jan Sobieski pisze, że nie mogą być porównane ze zdobyczą pod Chocimem. Oprócz namiotów, wozów, koni, samych sajdaków kilka, sadzonych rubinami i szafirami, oceniono na kilka tysięcy czerwonych złotych ówczesnych. Złotych szabel, kindżałów, sutych i kosztownych rzędów na konie moc nienaliczona, równie jak strzelb i pistoletów. Namiotów liczono do stu tysięcy, całą armią turecką przeszło 300,000. Sobieski, w liście pisanym tejże nocy w namiotach wezyrskich do żony, uradowany tak się wyraża: „Nie rzekniesz mnie tak, moja duszo, jako wiesz tatarskie żony mawiać zwykły mężom bez zdobyczy powracającym, „żeś ty nie junak, kiedyś się bez zdobyczy powrócił, bo ten co zdobywa wprzodzie być musi".

Za opanowaniem obozu tureckiego, znaleziono wielu brańców chrześcijańskich, szczególniej kobiet. Barbarzyńcy, uciekając, mordowali bezbronnych niewolników.

„Ludzi siła porzucili (pisze król), ale zabijali kogo tylko mogli. Siła bardzo zabitych leży białychgłów, ale i siła rannych, które żyć mogą. Wczoraj widziałem dzieciątko jedno we trzech leciech, chłopczyka bardzo najmilejszego, któremu zdrajca przeciął gębę szkaradnie i głowę“.

Dnia 13 września wjechał król do Wiednia, zaproszony od Staremberga, nie bramą, która była zapaloną, ale wycieczką ciemną, którą oświecono pochodniami. Wysłuchał Mszy świętej i *Te Deum laudamus*. Lud, wojsko, załogi, biegło całując króla Sobieskiego w ręce i nogi, zwąc go zbawicielem jedynym. Miasto dłużej nad dni kilka nie mogące się bronić, przedstawiało obraz smutnego zniszczenia: pałac cesarski prawie w gruzach, mury zeszczerbione od kul i w wielu miejscach zwalone, dużo domów zrujnowanych.

Król, zjadłszy obiad u komendanta miasta, opuścił Wiedeń; dostrzegł jednakże z boleścią, że ludowi zabroniono wznosić okrzyki na cześć jego. Mimo to odprowadzał bohatera do bramy, w milczeniu wznosząc ręce do góry.

Dwa przysłowia pozostały w naszym języku po tej wyprawie króla Jana Sobieskiego, pierwsze: *z kordem a boso*, bo chorągwie sławnych hussarzy i pancernych, utraciwszy dzielne konie, dla braku paszy, pieszo i boso wróciły; drugie: *to tyle warto co bić się za Wiedeń.*

Żadna pieśń współczesna, ani ludowa, ani szlachecka, nie zachowała w pamięci tak potężnego zwycięstwa. Po strasznym pogromie Turków pod Chocimem, dziesięcią laty wcześniej, kiedy Jan Sobieski był tylko hetmanem, pieśń o tym krwawym a sławnym boju zabrzmiała po całym obszarze starożytnej Polski, we wszystkich dworach i dworkach szlachty, — we wszystkich obozach i leżach naszego rycerstwa. Pieśń ta uwiecznia pamięć wielkiego bohatera, a chociaż większe, głośniejsze odnosi zwycięstwo pod Wiedniem, nikt z rycerzy-poetów, których to bywało zadaniem, nie złożył pieśni na cześć wrześniowego tryumfu, któremu cała Europa wraz z potężnym Rzymem poklasnęła.

Pomiędzy ludem Słowaków w Węgrzech, dochowała się tylko stara pieśń ludowa, w której widzimy króla Jana, jak z poza białej góry wyjeżdża na cisawym koniu ze złotemi łejcami naprzeciw Turczyna.

Miasto z przed 7 tysięcy lat!

W Azyi, w okolicy Babilonu, natrafili uczeni amerykańscy w głębi ziemi na ślady miasta, które istniało jeszcze przed Babilonem i Niniwą. Zwało się ono „Udnun-ki“, a zamieszkałe było przez lud „Sumirów“. Babilończycy przyjęli potem religię i oświatę od Sumirów.

Według obliczeń miasto Udnunki istniało 5000 lat przed narodzeniem Chrystusa Pana, a więc na 7000 lat przed naszą dobą. W mieście tem znaleziono liczne cegły niewypalone a na nich napisy w staro-sumirskim języku, które uczeni będą się starali teraz odczytać.

Domy również stawiane były z cegły niewypalonej; obejmują one po 2 — 3 izby. Sprzętów w domu było niewiele; znaleziono liczne dzbany, naczynia do wody, lampy, maty z trzciny, młynki do zboża i t. d.

Mężczyźni w domach tych zamieszkali, mieli głowy krótko strzyżone i twarze wygolone. Chodzili nago do pasa, od którego zakrywali niższą połowę ciała płatem tkaniny lub skóry, przewiązanej rzemieniem. Obuwia nie używali. Lud i starszyzna ani nawet wodzowie, nie odróżniali się ubraniem. Kobiety przyozdabiały uszy, nos, palce u rąk i nóg w obrączki złote lub bronzowe; na rękach i nogach nosiły bransolety.

Mieszkańcy miasta byli ludem bardzo religijnym. W świątyni, którą prawie w całości odkopano, znaleziono liczne posągi marmurowe królów. Jeden z nich nosił nazwę „Dawdu“, czyli Dawid, imię, które później nosił w Palestynie jeden z królów żydowskich.

Gdy Babilończycy zawojowali Sumirów i wcielili ich do swego państwa, przyjęli od nich całą oświatę i religię. Miasto Udnunki znajduje się w niewielkiej odległości od „Ur“ — miejsca pochodzenia Abrahama. Uczeni przypuszczają teraz, że Abraham przeniósł prawdopodobnie zwyczaje i religię „Sumirów“ do Chaldei, które później przyjął naród żydowski. Resztki zaś tej cywilizacyi dotrwały aż do naszych czasów.

Wychowańcy socyalistów.

Pod rządami masonów i socyalistów we Francyi wytworzyły się bandy nicponiów, łotrów, którzy wzięli sobie za cel niszczyć nawet ślady i oznaki chrześcijaństwa.

Ci nicponie, zwani „apaszami“, włóczą się po drogach wiejskich i gościńcach i burzą lub kradną przydrożne krzyże, tak, że ślad z nich nie pozostaje. We wsi Laclamp ukradli dwa krzyże, a trzeci żelazny połamali. Pozostał czwarty, na który urządzili wyprawę pewnej nocy. Kobiety z owej wsi ostrzeżone przez kogoś, postanowiły stanąć w obronie swego krzyża i uzbroiwszy się w widły, od północy oczekiwały zaczajone za płotami.

Krzyżołomcy, którzy zjawili się niebawem, ze zdumieniem ujrzeli nagle dokoła ostrza wideł zwrócone ku sobie. Na postrach dali kilka strzałów, ale ani jedna kobieta nie cofnęła się, poczem wszystkie z okrzykiem oburzenia poszły do ataku, a łotry socyalistyczne, widząc że to nie przelewki, wzięli nogi za pas i zniknęli w nocnych ciemnościach.

W miejscowości Saint Victor (Święty Wiktor) trzech takich drabów-krzyżołomców zabrało się do burzenia krzyża kamiennego, stojącego przy drodze. Najmłodszy z nich wdrapał się na ramiona krzyża i zaczął je odrębywać; wtem jedno z ramion samo się oberwało i padając na ziemię, pociągnęło za sobą zuchwalca. Oprócz silnego okaleczenia nogi, niszczyciel poniósł ciężką ranę w lewy bok od spadającego kamienia. Na ten widok dwaj jego towarzysze uciekli w wielkim strachu, a rannym zajął się jakiś obcy człowiek, który zapóźno nadszedł, żeby przeszkodzić świętodradztwu...

— A widzisz? — mówił do jęczącego draba — chciałeś zdruzgotać Pana Boga, a tymczasem Pan Bóg zdruzgotał ciebie!...

Wszyscy trzej świętokradzcy są znani, ale ani jeden nie został aresztowany, bo rząd francuski złożony z masonów i socyalistów cieszy się, że wychował już sobie takich łotrów, którzy niszczą godła Zbawienia ludzkiego!

Kara Boża za bluźnierstwo.

W północnej Ameryce, w mieście Baltimore, pewien bezbożnik, imieniem Whitney, często bluźnił, że Boga niema. Na początku tego roku wołał w największym zapale: „Ja wyzywam Wszechmogącego, aby mnie powalił martwego". W tej samej chwili upadł martwy na ziemię. Wypadek ten wywołał u niedowiarków wielkie wrażenie, bo świadków tego wypadku jest poddostatkiem. *(Posłaniec Amerykański.* Luty 1905).

Na Węgrzech znowu w gminie Assod szalała dnia 20 czerwca straszliwa burza, połączona z wylewem rzeki. Niejaki Hetyke, luteranin, stał przed swym domem i rozmawiał ze swymi sąsiadami i śmiejąc się z burzy wymawiał straszliwe obelgi i klątwy przeciw Bogu. W swej pysze wskazywał na swe piersi i wołał do Boga, aby w te piersi uderzył piorunem, jeżeli to uczynić może. W tej samej chwili upadł także martwy rażony piorunem.

Tak opisuje bluźnierstwo to i karę gazeta *Voci Közlöny* we Waitzen i dodaje, że ten wypadek nie jest zmyślony, ale stwierdzony przysięgą licznych świadków powyżej opisanego zdarzenia. Widać, że Bóg nawet w naszych czasach robi cuda, aby się opamiętali niewierzący.

Jak sypiają rozmaite narody?

Człowiek trzecią część życia swego spędza w łóżku. Nic więc dziwnego, że stara się legowisko swoje uczynić wygodnem i przyjemnem, że poświęca mu wiele uwagi, troski i zabiegów.

Niemcy lubują się w puchach. Poduszki mają z pierza. — Polacy mają wprawdzie poduszki z pierza, ale nie cierpią pierzyn. Nakrywają się kocem lub kołdrą, leżą na sienniku; bogatsi używają włósiennych materaców. — Włoch ma poduszkę twardą z wełny, a materace z morskiej trawy.

W Ameryce południowej sypiają na hamakach. Są to maty, zrobione z powrózków, przywiązane na dwóch końcach do drzew lub słupków, na których wygodnie

buja się i zasypia. — Indyanie robią hamaki z trawy długiej i farbują je na rozmaite kolory. — Japończycy maty słomiane lub z wełny rozścielają na ziemi, kładą pod głowę klocek drewniany i mówią, że to najwygodniejsze łóżko. — Chińczycy mają nizkie łóżka, a wyścielają je matami; biedniejsi ze słomy, bogatsi z wełny. W zimie ubierają się w szerokie szaty, grubo watowane i w nich układają się do snu. — Najmniej wymagającymi są murzyni. Gdy sen zmoży murzyna, kładzie się na ziemię gdziekolwiek i śpi snem sprawiedliwego. Nie potrzebuje ani poduszki, ani materaca, ani koca do nakrycia. Szczęśliwy człowiek!

Walka z papierosami.

Zamiłowanie do palenia papierosów wzmaga się z roku na rok we wszystkich krajach, równocześnie jednak wypowiedziano walkę papierosom, i to w Hiszpanii, gdzie najpierw zaczęto je robić i palić, a walka ta coraz bardziej się zaostrza.

Rząd hiszpański przyszedł do przekonania, że zbytnie używanie tytoniu, a w szczególności papierosów, wpływa zgubnie na zdrowie młodzieży, a ujemnie na wzrost młodszego pokolenia.

Rząd hiszpański przygotowuje tedy projekt ustawy, na mocy którego trafikom będzie pod karą zabronionem sprzedawanie papierosów młodym ludziom, obojej płci, nie liczącym jeszcze lat 17. Za przekroczenia wyznaczono grzywny od 40 do 100 koron, a nawet więzienie.

Ustawie takiej przyklasnąć należy, zwłaszcza, gdy się zważy, że w Hiszpanii dużo papierosów pali młodzież z klasy pracującej, a młodzież ta jest licho odżywianą i wątłej budowy ciała. Tytoń nie tylko bezpośrednio zgubnie działa na zdrowie młodzieży, ale i pośrednio przez to, że młodzi ludzie kupują tytoń za pieniądze, które zarobili, a które im mają służyć na należyte i obfite wyżywienie. Pośród młodzieży hiszpańskiej szerzą się suchoty, które w znacznej części przypisać należy paleniu papierosów.

Zresztą nie tylko jedna Hiszpania wypowiedziała walkę papierosom. Wybitni lekarze europejscy i amerykańscy występują od dawna przeciw przemienianiu ust w „dymiące kominy“, a w szczególności przeciw paleniu papierosów. Angielski lekarz wojskowy, Tevers, twierdzi, że rekruci pochodzący z miast o wiele są słabsi od wieśniaków. Rzadko zaś kiedy spotkał rekruta miejskiego, któregoby palców nie było czuć tytoniem.

Pomiędzy młodzieżą, niezdatną do służby wojskowej, najwięcej jest takich, którzy nadmiernie palą tytoń.

Podobne spostrzeżenia poczyniono podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej. Z pośród żołnierzy powołanych na wojnę musiano na 100 uwolnić 90, a przyczyną tego było nadmierne palenie papierosów.

Dr. Tavers sądzi, że papierosy zarówno szkodliwie działają na ciało, jak i na umysł. Dlatego przestrzega młodzież, aby się pozbyła tego zgubnego zwyczaju, który z wiekiem przemienia się w nałóg, niemal wykorzenić się nie dający.

Także we Włoszech, Niemczech i w Austryi palenie papierosów wchodzi coraz bardziej w użycie. W Rosyi jest ono od dawna bardzo rozpowszechnione. W Galicyi szerzy się palenie papierosów nie tylko po miastach, ale i między młodymi włościanami. O wiele mniej szkodliwe są lekkie cygara liściowe. Żartobliwe wyrażenie, iż papierosy są „gwoździmi trumiennymi“ — ma w sobie sporo słuszności. Przekonano się od dawien dawna, że ludzie, dochodzący do lat bardzo sędziwych, prawie nigdy nie palą tytoniu, a w szczególności papierosów.

Kiedy wynaleziono papier?

Faktem jest, że nasz papier jest wynalazkiem chińskim, znanym od wieków w Chinach, a rozpowszechnionym w Europie w czasie wojen krzyżowych, mianowicie w Niemczech około roku 1190, we Francyi około r. 1250.

Uczony Sven-Hedin znalazł na potwierdzenie tego faktu papier chiński, w dobrym stanie zachowany, pochodzący z trzeciego wieku po Chrystusie. Sven-Hedin odkrył mianowicie w piasku w pustyni Gobi (w Azyi) ruiny miasta, a w jednym z największych tegoż domów,

wielką ilość rękopisów starochińskiego pisma, częściowo na drewnianych sztabach, częściowo i na papierze pisanych.

Papier ten, jak się później przekonano, pochodzi z roku 270 po Chrystusie Panu, co dowodzi, że już w 3-im wieku ery chrześcijańskiej, znanem było w Chinach wyrabianie papieru z włókien roślinnych. Wątpić należy, czy teraz wyrabiany i niby ulepszony papier przetrwa tyle wieków, co tamten znaleziony w Gobi.

Pożywność orzechów.

Od najdawniejszych czasów są orzechy jednym z najważniejszych środków pożywienia u wielu narodów. A zasługują ze wszech miar na uznanie, jakiem się cieszą. Orzechy bowiem i ziarniste owoce, jak migdały, zawierają bardzo dużo ciałek białkowatych i tłuszczów, zatem dwóch głównych składników ludzkiego pożywienia. Pożywność orzechów przenosi trzykrotnie wartość pożywczą najprzedniejszych pieczeni.

Wśród narodów „cywilizowanych“ zapomniano o tem niestety, i dopiero w ostatnich czasach, w kołach zwolenników przyrodnego sposobu życia, zwrócono słusznie uwagę na orzechy jako cenne środki pożywienia. Oczywiście dla odzwyczajonych od przyrodnej strawy przez szereg pokoleń żołądków ludzi nowoczesnych są orzechy trudno strawne, i rzadko kto mógłby spożywać od razu większą ich ilość, nie narażając się na większe lub mniejsze niedomagania. Ale można powoli przyzwyczajać żołądek.

Dalej polecenia godne są wszelkie potrawy sporządzane z miazgą orzechową, mlekiem i t. p. Przedewszystkiem zaś pamiętajmy o pożywności orzechów i migdałów w obec dzieci prawidłowo rozwiniętych, które przecież zwykle domagają się tych owoców. Jest to zdrowy popęd przyrody u dzieci, równie jak do owoców innych. Nie stłumiajmy go. Żołądek młody zdrowych dzieci strawi bez trudu orzechy, gdyż jest jeszcze nie wyniszczony rozmaitymi wykwintnymi wymysłami kuchni, jak żołądki dorosłych. A przytem ruch, jakiego zwykle używają dzieci obficie, ułatwia im trawienie. Gdy więc mają chęć na orzechy, dawać im je należy.

RÓŻNE RADY POŻYTECZNE.

Mech jako podściółka. Na mokrych łąkach i na torfiskach czyli murszach rośnie w obfitości mech torfowy. Dopóki mech ten jest mokry, może stanowić dobry podściół pod bydlęta, ale nie pochłania gazów i gnoju. Jeżeli jednak mchu nazbieramy, cienko rozścielemy i wysuszymy choćby nawet na mrozie, to staje się bardzo dobrą ściółką. Zbieranie mchu z łąk nie tylko nie szkodzi im, ale przeciwnie poprawia, bo trawy, które z pod mchu wydobywać się nie mogły, teraz dobrze będą rosły.

Pielęgnowanie kopyt u koni. Najlepsze pielęgnowanie kopyt koni polega na utrzymaniu ich w czystości. W lecie trzeba je często obmywać, konie pławić w ciepłej porze roku, sucho i obficie podścielać w stajni i o ile możności kazać koniom chodzić boso, to jest bez podków. Szczególnie to ostatnie wpływa bardzo korzystnie na zachowanie kopyt i nóg w zdrowiu a pewna miękkość kopyt, a zatem i chodu tylko tym sposobem może być osiągniętą.

W wysokiej mierze szkodliwem jest także przecinanie strugiem strzałki kopyt, co właśnie wielu kowali czyni. Strzałka, jeżeli zdrowa, powinna być tak grubą, aby przy stąpaniu opierała się lekko na ziemi; przez to się pobudza obieg krwi w nodze a tem samem i lepsze odnawianie się kopyta. Dobrym środkiem na twarde i kruche podeszwy kopyt jest glina zarobiona z wodą i trochę soli. Papkę z tego dobrze się ugniata i smaruje nią na noc podeszwy kopyt. Pielęgnujmy kopyta, bo „bez kopyta niema konia!“

Próba surowych ziemniaków pod względem ich dobroci. Po rozkrojeniu ziemniaka pociera się obie połówki o siebie; jeżeli ziemniak jest dobrze mączysty, kawałki zlepiają się, a na brzegach ich i na powierzchni ukazuje się lekka piana. Woda nie powinna nawet przy naciskaniu wypłynąć; jeżeli coś takiego nastąpi, są ziemniaki po ugotowaniu wodniste i niesmaczne. Co do barwy, powinien być miąższ biały albo wpadać w odcień żółtawy. O miąższu całkiem żółtym twierdzą, że ziemniaki takie nie dadzą się dobrze ugotować, co jednakże nie jest uzasadnionem i nie zawsze jest prawdą, są bowiem odmiany o żółtem mięsie, które co do jakości nie pozostawiają nic do życzenia.

Dłużników,

którzy jeszcze nie zapłacili prenumeraty za to drugie półrocze, choć pismo biorą, ponownie prosimy, aby ją już raz nadesłali, jeżeli chcą otrzymywać dalej *Nowy Dzwonek* i w październiku pierwszy tomik **„Biblioteki Rozmaitości"**, za darmo.

Brać pismo, a nie płacić za nie, to jest krzywdzeniem redakcyi — a nie godzi się krzywdzić redakcyę pisma katolickiego, do tego jeszcze taką, która pracuje w nader ciężkich warunkach bez żadnej znikąd pomocy!

Przypomnienie.

Z Dzikowa piszą nam: Dnia 8 września przypada pierwsza rocznica **ukoronowania cudownego obrazu** N. Maryi Panny w Dzikowie koło Tarnobrzega. Uroczystość tę w kościele OO. Dominikanów poprzedzą czterodniowe misye (od 4 do 8 września włącznie), podczas których wygłoszonych będzie codziennie nauk cztery. Na dzień Narodzenia N. P. Maryi t. j. 8 września zapowiedział swój przyjazd ks. Biskup-sufragan przemyski Fiszer.

Zamiast *Pielgrzyma*
„BIBLIOTEKA ROZMAITOŚCI".

Do niniejszego numeru *Nowego Dzwonka* dołączamy 6-ty numer *Pielgrzyma*, który to numer jest **ostatnim**, gdyż dalej nie będziemy już wydawali *Pielgrzyma*, a to z następujących przyczyn:

Po pierwsze: wychodzi już w zaborze pruskim pismo polskie, zowiące się również *Pielgrzym*, przez co zachodziły często na poczcie różne pomyłki; powtóre: często w drodze ginął *Pielgrzym* i nie dochodził do rąk Szan. Czytelników, bo albo wypadał z *Nowego Dzwonka*, albo go kradli źli ludzie i oddawali Czytelnikom sam *Nowy Dzwonek* bez *Pielgrzyma*.

Wskutek tego znosimy *Pielgrzyma*, a natomiast powiększamy napowrót *Nowy Dzwonek* i w nim podawać będziemy wiadomości zamieszczane w *Pielgrzymie*.

Nadto donosimy, że w miejsce *Pielgrzyma* otrzymają Szan. Czytelnicy już z początkiem października bieżącego roku całkiem **za darmo pierwszy** tomik:

„BIBLIOTEKI ROZMAITOŚCI".